



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA

Weszliśmy tedy w konstellacyę... ogórka.

Sezon nudów, przynajmniej *de nomine*, rozpoczął się z początkiem bieżącego miesiąca. Kto mógł, już czmychnął z Warszawy, albo czeka najbliższej sposobności, by się wymknąć jaknajszybciej z miasta ziewających i drzemających.

Dotąd jakoś na brak rozrywek skarżyć się nie było powodu; spóźniony obchód Wianków na Wiśle przyniósł „Towarzystwu opieki nad ubogimi matkami oraz ich dziećmi“ (ufl., możnaby je też krócej nazywać!) około tysiąca rubli dochodu, a żadnej wrażeń publiczności warszawskiej—sporo malowniczych efektów, o których większe urocznienie na przyszłość należałoby się postarać.

Na terytorium dawnej wystawy inwentarza mieliśmy festyny ludowe, popisy linochoda, wyścigi hecarchy cyrkowych, kostyumowe pochody, puszczanie prawdziwego balonu z żywym auronautą i t. p. dziwowiska, za które chętnie Warszawa płaci, byle gapić się na co miała.

W Ogrodzie Zoologicznym urządzano przez dwie niedziele z rzędu nowość, coś w rodzaju balu letniego dla dzieci, który okazał się bardzo dobrym i odrazu spopularyzowanym pomysłem.

Dotychczas brak było dla maluczkich sposobności ogólnej zabawy. W Ogrodzie Saskim uganiają się wprawdzie codziennie bandy niesfornych dzieciaków, ale ani miejsce po temu odpowiednie, ani ta zabawa wśród tłumu spacerowiczów swobodną i właściwą być nie może.

Malcy przeszkadzają dorosłym, dorośli zawadzają malcom, cały rezultat w karambolach jednych i drugich, w pisku i krzyku, pozbawionym

wszelkiego uroku nawet dla największego dziecko-mana.

Przyznam się, że passjami lubię dzieci, ale z rodziny Milusińskich, grzecznych, układnych, choćby trochę swawolnych, byle nie hajdamaków krzykliwych, psotnych i zdziczałych w zabawie; patrząc niekiedy na te harce chłopców w Ogrodzie Saskim, miałbym ochotę niektórych spętać za karę i osadzić w kącie na pokucie.

Jestem wszelako przekonany, że ci sami swawolnicy pod okiem starszych w wspólnej gromadzie, przy dobrym przykładzie i w zorganizowanej zabawie byłiby bardzo znośnymi towarzyszami i zatraćili zupełnie swe narowy.

Panu J. M. Kamińskiemu przyszło to samo zapewne do głowy i spróbował w Żwierzyncu urządzić hulankę dla maluczkich z urozmaiconym programem wyścigów, gimnastycznych popisów zręczności i zgrabności, gier towarzyskich, tańców, tomboli etc. etc.

Kilkaset malców różnego wieku i stanu utworzyło „sosietę“ ożywioną wyborem humorem i werwą; starsi ludzie muszą zjeść z sobą beczkę soli, aby się poznać i polubić: dzieciom wystarcza kawałek piernika, jedna piłka, albo sznurek do skakania, aby się przyjaźń zawiązała gorętsza i szersza, niżli u wielu braci ślubnych w dojrzałym wieku.

Pod kierunkiem starszych i zamianowanych „gospodarzy zabawy“ wszystko rozwijało się, jak z płatka; z przymusem i płaczem niemal mali paniczki i panienci opuszczały Ogród Zoologiczny, wynosząc z niego wrażenia jaknajlepsze, o których zapewne cały tydzień toczyły się rozmowy w domu.

Przyznać trzeba, że owe dziecięce igrzyska wiele swojego powodzenia zawdzięczać będą głównej ich organizatorce, pani Feli Kaftalowej, która z rzadką u kobiet nawet familijnych zręcznością i pomysłowością, a z niemałym poświęceniem i wysiłkiem, umiała rozruszać, ożywić,

skupić z rozmaitych żywiołów ten mały światek i stać się w nim odrazu popularną osobistością.

Myslicie, że to nie sztuka swego rodzaju?... spróbujcie kiedy wmieszać się pomiędzy dziatwę i dostroić się do jej poziomu, usposobienia, wymogów,—spróbujcie z nimi skakać, tańczyć, śpiewać, dowcipkować, rozmawiać: a ze zdziwieniem zobaczycie, że wam nieraz konceptu, zręczności, wprawy w tem wszystkim zabraknie.

Co innego w salonie prowadzić najswobodniejszą konwersacyę, albo zpoza wachlarza sypać *bon motami*, a co innego prowadzić zajmującą rozmowę z malutkim Kaziem lub Zosią, którą trzeba umieć wyciągnąć na słówka, osmielić, ożywić, zachęcić do szczebiotu najmilszego na świecie, gdy się go słuchać i podniecać potrafi.

Wyrażono obawę, aby na tych rautach dziecięcych pod gołym niebem nie naśladowano za nadto etykiety, zwyczajów i śmieszności prawdziwego salonu, unikano tytułów, honorowych urzędów i strzeżono się karykatury dorosłych Fikalskich, prezesów zabawnych komitetów, i t. p. niewłaściwości w sferze maluczkich.

Czytałem odpowiedź p. J. M. Kamińskiego w tej sprawie, drukowaną w *Kuryerze Codziennym* i jestem spokojnym o to, że kierownicy zabaw dziecięcych obowiązek swój spełnią pod względem towarzyskim i pedagogicznym należycie.

Dla matek z licznymi „pociechami“ zostającymi przez całe lato w Warszawie, owe zbiorowe zabawy dziecięce, projektowane co Niedziela, będą nader pożądaną sposobnością rozywki do pełniącej program towarzyskiego wychowania dzieci.

Jedyną opozycyą dotąd stawiało niebo, która coraz dziwniejsze okazuje kaprysy i nie może się zdecydować na stałą pogodę; jakaś chorobliwa deszczomania, jakieś histeryczne wzruszenia Danaid psują nam wszystkie uciechy, zawisłe od barometru i atmosferycznych warunków. Po

spiekach mamy przejmujące chłody, po słońku świecącym jak nowy dukat z pod stempla, nastają zaćmienia, niby w pustej kieszeni Warszawiaka.

Ani człowiek wie, kiedy brać parasol, a kiedy wyjść na ulicę bez paltota; ni ztąd ni zowąd leje, to znów się wypogadza, wysycha, piecze, pali, a potem dmucha, wieje, kapie,—i tak wkoło.

Francuzi to nazywają *temps de chien*, psią pogodą, a u nas dodać-by można *enragé*.

Miesiąc kwitnących lip, święto pszczoł, pora miodem i woskiem płynącym, naszym nadziejom i oczekiwaniom zawód przynosi, a to właśnie teraz, kiedy p. Kazimierz Lewicki stał się głównym mandataryszem spółki komandytowo-firmowej, utrzymującej jedyne w swoim rodzaju Muzeum pszczolnicze na Koszykach.

Piąty rok istnienia tej instytucji nie wykazał, niestety, dodatnich pod względem materialnym rezultatów; spodziewano się zebrać 400 udziałów po 100 rs. i z takim kapitałem obrotowym rozwinąć działalność nowego zakładu i przedsiębiorstwa. Pokryto tylko trzecią część tej sumy; każda machina parowa z braku dostatecznego paliwa stanąć musi, w maszynie muzealnej paliwem byłyby akcyje.

Cóż, kiedy ich kupować niema komu!

Możeby zresztą i w dzisiejszych warunkach Muzeum lepiej prosperować mogło, ale, niestety, w instytucji miodu pełnej zaczęły się wytwarzać kwasy i gorycz jakaś. Wbrew maxymie francuskiej *l'union fait la force*, siły zbiorowe w tym wypadku okazały się słabszymi od sił jednostki, co zresztą jest rzeczą naturalną tam, gdzie nie uwzględniają praw mechaniki, zapewniających największy rezultat tylko wtedy, jeżeli wszystkie siły w jednym kierunku działają.

Po długich sporach i rozprawach na ostatnim zgromadzeniu akcyonariusze Muzeum zgodzili się wypróbować wytrzymałość i energią jednego członka, staciwszy widocznie wiarę w siebie, jako stowarzyszenie, bo całe przedsiębiorstwo zwalili na barki p. Lewickiego, fachowego kierownika instytucji i głównego jej inicjatora.

Zobaczmy, jak sobie p. Lewicki poradzi sam, jako personifikacja towarzystwa i czy własnymi siłami utrzyma i podniesie instytucję, której zbiorowe siły utrzymać i rozwinąć nie mogły.

Że też u nas tak trudno zrobić coś dobrze w kilku; na pojedynkę nieraz udają się najcięższe i najtrudniejsze zadania, a energia jednostek bywa większą od solidarności wielu.

Szkoda-by była wielka, gdyby Muzeum uległo losowi spółki jedwabniczej i po roku próby doprowadziło... do likwidacji; wykształciło ono w ciągu lat kilku 110 pszczelarzy i 92 pszczelarzek, podniosło choć trochę zaniedbaną gałązkę naszego gospodarstwa, przysporzyło źródło dochodu i krajowego bogactwa, ma w sobie czynniki dalszego rozwoju; jakżeż pozwolić teraz, aby upadło!...

Obecnie nauki pszczelnictwa i ogrodnictwa w Muzeum pobierają 44 kobiety i 63 mężczyzn.

Czyżby u nas żadna słodycz trwałą być nie mogła, a tylko same gorycze się udawały?...

Są pomiędzy ludźmi pszczoły, co słodki miod roznoszą i całe plastry niemi napełniają na potrzeby innych.

Do nich-to zaliczam owych szczodrych fundatorów i dobroczyńców, jak Norblinowie i Dittrichowie, którzy w ostatnich czasach hojnemi zapisami dla klas pracujących zyskali prawo do ogólnego uznania.

Pragnąc uczcić pamięć zmarłego właściciela zakładów żyrardowskich, Karola Dittricha, spadkobiercy jego przeznaczili fundusz 30,000 dla rozdania pomiędzy 600 najdawniejszych robotników i najdawniejsze robotnice fabryki.

Nadto przeznaczili procent w kwocie rs. 3,000 od kapitału złożonego w banku na dalsze zapomogi w tym rodzaju, póty, póki syn zmarłego pozostawać będzie na czele żyrardowskich zakładów.

Piękne to i rozumne uczczenie pamięci nieboszczyka, któremu rodzina stawia pomnik w sercach ludzkich.

Ta zapobiegliwość o los pracujących ze strony chlebodawców w dzisiejszych czasach ma także

swoje moralno-społeczne znaczenie u nas, a w powyższym wypadku tem więcej zasługuje na uznanie, że znalazła sobie formę najwłaściwszą, bo spełniła rozumnie swoje zadanie, darząc robotników, nie jałmużną, nie bezwzględna darowizną, która z ostatnim wydanym groszem znika z pamięci, zarówno, jak z kieszeni, ale utrwalając fundacją na czas dłuższy i zachęcając obdarzonych do czynienia dalszych oszczędności dla siebie na stare lata, lub dla swoich rodzin.

Kwoty 50-rublowe wpisywane będą na rzecz wybranych w książeczki oszczędności; to praktyczne.

Gotówka stopniałaby szybko w rękach właścicieli, a drobny kapitalik urastać będzie powoli, ale bezustannie, strzeżony przepisami fundatorów.

Lepsze to i właściwsze od tej hojności bezwzględnej, która pełną garścią rzuca niekiedy tysiące, jak było w ostatnich kilku latach wyjątkowych u nas potrzeb i warunków.

Miłośdziej jest jedną z najcenniejszych cnót ludzkich, ale powinno ono liczyć się z moralnością i praktycznymi względami, zwłaszcza gdy chodzi o massy.

Przyznaję się, że z uśmiechem przeczytałem wiadomość o projekcie nowego konkursu z nagrodą 1,000 rs. (czy przypadkiem korektor jednego zera w tej cyfrze nie przeczytał?) za napisanie broszury o środkach usunięcia u nas żebractwa.

Czyż na to potrzeba aż konkursu?... po wszystkich dziennikach od wielu lat spisano tyle artykułów i projektów w tym przedmiocie, że można z nich dzieło całe, nie małą broszurę złożyć.

Chcę jednak przypuścić, że znajdzie się autor, który wystąpi z genialnym jakim projektem usunięcia wszystkich dziadów i bab w ciągu jednego dnia, to i cóż?... kto ten projekt wykona, kto się nim zajmie tak energicznie, jak należy?

Przed kilku laty czytałem cały referat w jednym z dzienników, zajmujący się proletaryatem miejskim Warszawy. Autor zwracał uwagę na zbyt ni napływ żywołu niby — robotniczego z prowincji, który na bruku naszym szuka zarobku, ale w krótkim czasie pozostaje bez chleba i powiększa zastęp owych darmożjadów, wależających się ze skrzywioną, zmizerowaną twarzą, leniwym, ociężałym krokiem po ulicach, apelując do łaski i serca litościwego przechodniów.

Nie wpuszczajcie do miast tej émy, co ku światłom zwodniczym leci — wołał autor — nie pozwalajcie porzucać roli prostaczkom, drobniejszym rzemieślnikom wiejskich, lub małomiejskich warsztatów, niech na miejscu szukają zajęcia i utrzymania, a nie zmieniają jednej biedy na drugą gorszą, cięższą podwójnie i im, i ogółowi przy przerzucaniu się na bruk Warszawy.

Uwagi były słuszne, ale mimo to złego nie powstrzymały; co roku napływa nowy procent materiału ze wsi i z prowincji na proletaryat miejski, który później dobroczynność publiczna swoim kosztem żywić musi.

Konkursu i broszury temu nie zaradzą, ale zaradzić może hojność projektodawców, którzy zamiast tysiące rubli ofiarowywać na bezużyteczne manuskrypta i makulaturę, niech lepiej pieniądze swe złożą na utworzenie przytułków dla starców i kalek po kraju, w punktach rozmaitych, decentralizując nadwyżkę proletaryatu miejskiego jednej Warszawy.

Wspominałem już o konkurso-manii, jaka od pewnego czasu grasuje pomiędzy nami; oile jeszcze trzyma się ona granic sztuki i literatury, o tyle może przynieść pożytku.

W innych kierunkach i dziedzinach powątpiewam o jej praktycznych rezultatach.

Konkurs *Tygodnika ilustrowanego* na poemat i nowelkę dał obfity plon; oprócz trzech wierszy p. t. „Do Granicy“, „Saphona“ i „Z teki Grotgera“, komitet polecił do druku prozę z belletrystyki konkursowej: „Kubę Trojaka“, „Odmieńca“ i „Wydaloną“, a wyróżnił dziesięć innych nowelli i szkiców, które zapewne wkrótce wypełnią łamy naszych dzienników i tygodników.

Charakterystycznym szczegółem owej twórczości wywołanej nagrodą konkursową jest to, że tak w poematach, jak i w nowellach przeważają tematy ludowe; pewne tętą bieżącej chwili odzywają się w natchnieniu autorów, pierwiastek

moralno-społeczny i refleksyjny zabarwia poważniejszym kolorytem owe obrazki, a wszędzie niemal objawia się tendencyjność, świadcząca o głębszej myśli przewodniej przy pisaniu.

Byłby to symptom, bardzo pożądanym, świadczący o dojrzewaniu literackiej twórczości, o pogłębianiu pomysłów bez względu na większy lub mniejszy zasób talentu.

Widać, że owi piszący chcą czegoś więcej, niż nieraz mogą i potrafią, ale usiłują poważniej tworzyć, że sobie zdają sprawę ze swoich zadań w literaturze, nabierającej żywotności chwili bieżącej.

Kolej teraz przyszła na publiczność okazać, oile zrozumiała ten nowy zwrot i dojrzała w swoim krytycznym sądzie; zobaczmy, jak się uda plebiscyt i co przeważy w zdaniach głosujących.

Mie wypada mi przewidywać rezultatu, ani agitować na czyjąkolwiek korzyść, ale... wiem, komu oddać pierwszeństwo w konkursowym turnieju, tylko nie wydrukuję tego przed rozdaniem wieńców laureatom.

Zaledwie opróżniono szranki z literatów, już surmy heroldów wzywają artystów do współubiegania się o nagrodę. Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie rozpięło konkurs na obraz dowolnych rozmiarów i dowolnego tematu, byle nadawał się do kompozycji i ofiarowało 600 guldenów za najlepszy, pozostawiając utwór na własność malarzowi.

Nagroda pozostała z ofiary Brandta Józefa, który przeznaczył pieniądze zapłacone mu za obraz złożony w Muzeum sztuki w Krakowie na cel powyższy.

Artyści nasi przyjęli ogłoszenie konkursu sympatycznie, wszelako sarkają na termin, oznaczony na dzień 1 Kwietnia roku przyszedłego; u nas zawsze na coś narzekać trzeba.

Powiadają, iż termin wystawy konkursowej schodzi się z wielką międzynarodową sztuką w Monachium, to i cóż? nie można obrazów przeznaczonych na ekspozycję zagraniczną posłać do Krakowa?

„Miło śpiewać obcym, lecz swoim najmilej“ — pisała kiedyś pani Sembrich-Stengel-Kochańska, czyżby nie dało się przerobić tego na: „Miło malować obcym, lecz swoim najmilej“ — choć nie najzyskowniej?

Uznanie jury w Krakowie zapewnia również rozgłos i korzyści materialne. Zresztą, gdyby tylko o czas chodziło, komitet konkursowy chyba nie będzie się targował.

Quis.

## ROK SZKOLNY.

(Dalszy ciąg).

Wychowanie dziecka swego jest dla rodziców rzeczą tak naturalną, jak życie samo. Kiedy istotka ta młoda na świat przychodzi, matka przyjmuje ją na łono swoje, karmi mlekiem piersi własnej i idzie to tak dalej; w miarę rosnących potrzeb dziecka, otrzymuje ono od rodziców ich zaspokojenie, które w społeczeństwach cywilizacyjnych obejmuje moralne i intelektualne kształcenie, według pojęć panujących. Rodzice czynią to przez miłość, czynią to zarazem przez uczucie obowiązku. To, co Ewa mówi w *Księgach Rodzaju*: — „Otrzymałam człowieka przez Boga!“ powtarza się mniej więcej, w sumieniu wszystkich rodziców i jest jakoby ich instynktem moralnym, podnoszącym się w miarę wykształcenia ich samych, w miarę stopnia ich uczuciowości. Wogóle przecież wszyscy rodzice pragną, choćby w stanie woli biernym, dzieci swoje dobrze wychować, ale bardzo ograniczona liczba wie, że wychowanie jest umiejętnością, że jest nauka wychowania, opierająca się na wielu innych naukach: na znajomości natury ludzkiej, na jej obserwacji psychologicznej, fizjologicznej — na świadomości ce-

łów moralnych, ku którym chcemy dążyć przez wychowanie takie, a nie inne. Niemniej tak jest i rodzice, zdając na wychowawców-nauczycieli część rodzicielskich obowiązków kształcenia dziecka swego, powinni wiedzieć, że jest zły lub dobry sposób wychowania nietylko przez samo przestrzeganie obyczajów wychowanka, przez same w tym kierunku przepisy moralności, które mają szeptać w umyśle pojęcie o złem i dobrem—o cnocie i występku. Są to rzeczy niezmiernie ważne, są to rzeczy podstawowe; ale wychowanie to całość wpływów, którym wychowanek jest poddany, więc też biorąc rzecz względnie do moralnych wpływów edukacji, może być zły lub dobry systemat nauki—może być na przykład, zły lub dobry wykład historii literatury, warunkujący się już tem, że ów wykład (historii, literatury), nie powinien w metodzie swojej być takimsamym, jak wykład matematyki, fizyki, chemii.

Są względnie do różnych kierunków wychowawczych, złe lub dobre, przez obraną metodę, sposoby nauki rozwijania w umyśle młodym spostrzegawczości, wyobraźni, sądu o rzeczach, zmysłu moralnego; a przecież to wszystko razem wzięte stanowi w połączeniu wychowanie w jego idealnym, lub pozytywnym, materialistycznym kierunku. Naprzykład najpierwotniejszy wykład nauki moralnej może stanowić o całym nagięciu pojęć wychowanka; niech punktem wyjścia będzie: „Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego”... lub: — „Nie czyni drugiemu, co tobie miłem nie jest”... a cały świat różnicy moralnej wprowadzonym zostanie w umysł nauczanego, bo jedna zasada nakazuje mu kochać ludzkość tak, aby uczynił dla każdego człowieka wszystko to, co uczyniłby dla siebie w trudzie, w ofierze, w poświęcającym się wysiłku, a nie uczynił dla nikogo tego, czego by nie zrobił dla siebie przez zaparcie się tych idei, tych ideałów swoich, które za świętość uważa. Druga zaś pokaże mu, jak w bajce Lafontaine'a o dziecku i zwierciadle, że świat takim będzie dla niego, jak on dla świata, że przez naturalne prawo wzajemności, tyle odbierze, ile da.

Jedną zasadą będzie miłość: czysta, szlachetna, wzniosła siła ducha—drugą, na mocy dobrze zrozumianego interesu rozsądnie okiełznany egoizm. I tak, stosunkowo do przedmiotu we wszystkim: odmienne pojęcie nauki musi pod innym kątem widzenia ukazywać młodzieży rzeczy świata i w następstwie tego oddziaływać na nią moralnie. Sposób pojmowania człowieka i natury: miejsce, jakie wśród niej człowiek ten zajmuje, pojęcie jego przeznaczeń duchowych—wywierają wpływ przepiętny na kształtowanie się danych naukowych, więc na systemat nauki i metodę nauczania. W niższym tego nauczania stopniu, gdzie filozofia nauki, wynika z jej wypadków ostatnich, jeszcze miejsca mieć nie może, już przecież owa metoda przygotowuje umysł ucznia do przyjęcia zamierzonego rezultatu przez stosowne rozwijanie władz jego. Mogą jedne rozwielić się kosztem drugich, które przytłumiane, na zagładę skazanymi zostały i zagładzie też uległy. Najpotężniejsze nawet umysły odczuwają ten wpływ wczesny—wpływ edukacji młodzieńczej, zaznaczający się na całych epokach historii. Weźmy na przykład u nas w obrazie dziejów wydatną różnicę oddziaływania dwóch zgrupowań nauczających: czem jest okres Sasów z zacieśniającą umysły nauką scholastyczną, a czem wraz z Konarskim odradzające się cnoty i zdolności? Należy to do praw natury człowieka, że on — istota wykształcalna, może pewne swoje władze, pewne instynkta rozwijać, lub zatracać w miarę, jak w nim one wyrabianymi, lub zapuszczanymi będą. Jest to siła jego i jego słabość, jego różnica, odcinająca go stanowczo od reszty organicznej i nieorganicznej natury—wyższość jego nad nią, jego wśród niej jedyność: podstawa jego odpowiedzialności moralnej.

Rodzice klas intelligentnych, a zwłaszcza ojcowie, powinni wiedzieć, jakim jest kierunek nauki udzielanej ich dzieciom, jakie są jej postulata moralne. Niemiecki pedagog, filozof Herbart dał rodzicom znakomite pod tym względem wskazówki w rozmowie jakoby ojca z przyszłym

nauczycielem jego synów. Obowiązek to rodzicielski, wcale niemniejszy, a nawet stokroć większy, niż wiadomość, co ich dziecko je i pije, czem karmi organizm swój fizyczny, i czy go na słońcu pali, lub na mrozy północne wystawia; trzeba też przypuszczać, że większość rodziców nie rzekłaby go się nigdy—gdyby o tem myślała! Myśleć powinna przecież—wakacje zaś to czas najsposobniejszy do wcielenia w czyn tego obowiązku rodzicielskiego i każdy ojciec, jeżeli go tylko przez zasób materiału naukowego na to stać, powinien z synem, zwłaszcza starszym, poważne rozmowy w materyach naukowych przeprowadzać, wskazać mu różnice szkół rozmaitych i nie zapomnieć wśród tych rozmów o jednej rzeczy, ważnej dla młodzieńca, że pozytywne, materialistyczne kierunki w nauce nie są bynajmniej nowością i jakoby postępem, ponieważ od zarania wiadomych nam dziejów ludzkości, od pierwszych wieków filozofii greckiej, już się ujawniają dwa prądy myśli ludzkich, z których jeden do ziemi przypada i jej łona puścić się nie chce, budując tam gmach całkowity swego bytu, gdy drugi o nieśmiertelnym duchu w piersi człowieka wie i oczy ku górze podnosi, tęskni, przeczuwa, ma widzenia niebiańskie piękna i prawdy nadziemskiej. Od wieków ludzkość doświadczała w sobie tego, co poeta dzisiejszy (Wiktor Hugo) jej powiada: „La nature aux songeurs montre les cieux du doigt” duch ludzki zajął w Prometeuszu iskry boskiego ognia, gdy z drugiej strony Satyr na koźlich nogach śmiał się z niego w grocie swojej. Wyraz: postęp... ma czarodziejski urok dla młodości, której zadaniem jest stworzyć go, być w pochodzie wieków jednym krokiem naprzód, i ojciec powinien synowi dać wskazówki rozumne, jaką koleją Ludzkość doskonalenia swego się dobją.

Jest siła miłosna, mieszkająca w piersi młodzieńca, która go skłania, aby był ojca swego następcą w wierzeniach i ukochaniach jego, i jeżeli tylko ojciec ten nie przedstawia się synowi w sprawach życia, w sprawach interesu swego wstecznikiem, człowiekiem mało szlachetnym i o wyższe ideały ludzkości, o ideały rodzime mało dbałym, pójdzie on niezawodnie za kierunkiem jego przekonania, wiar, miłości i nadziei—sercem nie oderwie się od nich, świętej nici tradycji nie ztarga pogardliwie i weźmie na młode, codziennie silniejsze barki swoje brzemie tego moralnego obowiązku, który ojciec jego dźwigał uczciwie.

Ojciec powinien ze względem takim dobierać synowi czytanie wakacyjne, łącząc je (co bynajmniej sprzecznością nie jest), z zalecaną przez James'a Sully edukacją fantazyi. Obok poety który wyobraźnia jego wzruszy, uczucie w nim rozpali, nastrój myśli podniesie i coś bohaterstwa w pierś młodą włoży, niech, starszy zwłaszcza, znajdzie dzieło szlachetnego myśliciela, historyka i historyzofa, pisane ciepło, żywo, a ciepło i żywo porwie się za nim młody umysł, w pożądanym kierunku się zwróci, przekonanie jego sobie przyswoi i da mu w głębi swojej wespół z własną myślą pracować, wspomagać ją, przewodniczyć jej w łamaniu się i wyrabianie idei...

Wskazać synowi inną jeszcze metodę naukową, niż ta, która go prowadziła dotąd, a przeciw której ojciec protestuje, jest ze strony rodzicielskiej obowiązkiem—obowiązkiem poważnym i ważnym w skutkach, bo jest w każdym razie rozszerzeniem horyzontów uczącego się młodzieńca, daniem mu w rękę, jakoby nowego narzędzia do zdobywania sobie wiedzy naukowej z innej kopalni ludzkiego ducha. Młodzieniec ujrzy wtedy nieznaną mu strony faktów znanych niby, ukazujących się teraz w oświetleniu nowem; pozna, że są w piersiach ludzkich inne jeszcze uczucia i porywy, niż te, które dotąd brał w rachunek, inne potrzeby, dobijające się praw swoich—którym się należy udział w życiu dzisiejszem, bo żyły i działały w historycznej przeszłości świata, Ludzkości. Metody nauczania są jak klucze w rękach ludzi, stojących przed zamkniętymi drzwiami. Wejda tam tylko, gdzie sobie przystęp otworzyć chcą i mogą.

Córka ma równie prawo do takiej samej troskliwości ze strony rodziców. Dobra, pożytecz-

na książka: dobre, pożyteczne o niej pogawędki z matką lub ojcem—czasami głośne czytanie utworów pięknych przez myśl i uczucie podniosłe, odznaczających się czystością szlachetnego języka, powinny znaleźć miejsce w czasie wakacyjnym. Cały dzień nie może być oddany ruchowi na świeżem powietrzu, lub odpoczynkowi leniwemu, bo dwa miesiące czasu to szósta część roku—więc kawał życia. Mogą też i powinny być chwile zajęć umysłowych, potrzebnych dla rozwinięcia młodej intelligencji w kierunku pożądanym i w wychowaniu ważnym. Dziewczęta uczą się obecnie bardzo wielu przedmiotów, a nawet ze względu na stosunkowo do nich krótki czas nauki kobiecej, na młody zwykle wiek uczennic, czy czasem nie jest ich za wiele? Doświadczony i rozumny pedagog, specjalista w nauczaniu kobiecym, wyrażał pod tym względem obawy—podał drukiem uwagi swoje i przestrogi (w Gazecie Polskiej) Mnogość przedmiotów, wprowadzonych dziś do edukacji kobiet, każe ograniczać się i zarysowywania ich zaledwie, i szkicowania nauki, która podawana w ten sposób, nie może iść w głąb umysłu, aby rozświecać go i ogrzewać, tylko też obciąża pamięć, w której pozostaje balastem nieużytecznym dla rozwoju umysłowości tak uczonych dziewcząt. Osobistości najszcześliwiej obdarowane, mają wprawdzie z tą korzyść, że wedle ukazanych im różnych gałęzi nauki i rozbudzonych tym sposobem zamiłowań naukowych, mogą sobie obierać dla studyów przyszłych kierunki pewne; czy przecież wiele jest takich i czy można liczyć na większy procent tych, które coś zyskują, czy tych, które tracą? To staroswieckie określenie nauki kobiecej, które niegdyś tak oburzyło Żmichowską: „ozdoba umysłu”—mimowoli tu na myśl przychodzi i strachać się każe, czy z nauką dziewcząt coś podobnego nie dzieje się obecnie? Jeżeli jest inaczej to musi być przeciążenie, rzecz niemniej szkodliwa, budząca obawy nie u nas tylko. W Anglii pedagogowie coraz więcej podnoszą głos przeciw „overpressure”, co jest tem niebezpieczniejszą rzeczą, że najuczulliwsza nauka dziewcząt przypada na chwilę rozwijania się ich fizycznego organizmu, co w skutkach oddziaływań swoich ma osiągać kobietę w późniejszej matce. We Francji i w Niemczech tesame uwagi nasuwają się ludziom na myśl, niemniej programat szkolnej nauki dziewcząt nie zmienia się, lecz przeciwnie rozszerza wciąż przez nowe przybieranie sobie materyi naukowych. Pedagog niemiecki, Dr Stoy należący do szkoły Herbart'a w jej odłamie liberalnym, pyta się: jaką jednak jest przyczyna tego zjawiska: czy uczta w duchu kobiecym potrzeba wiedzy rozszerzonej do przedmiotów, które mniej wchodzi w zakres życiowej działalności kobiety, i zarazem zdają się w wyjątkach tylko przyciągać sobie umysły niewieście? Odpowiedź na to pytanie nie wypada pomyślnie. Dr Stoy, twierdzi, że oddziaływa tu w stopniu znacznym kierunek realny edukacji męskiej i — konkurencja naukowych zakładów dla kobiet. Reformują się one wedle planu nie tyle może rzeczywistych potrzeb uczennic, ile przez chęć postępowości, która zakłady ich wyższymi nazywać pozwala.

(Dokończenie nastąpi).

## BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— No, cóż tam, ojcze, dziś nowego? Jakże król jm. wstał usposobiony? Zabija, czy łaskami obsypuje? Z nim nigdy zgadnąć nie można, co człowieka czeka.

Biskup pomyślał trochę.

— Król jmoś — rzekł — frasobliwy bardzo, nie odbiera już od dni kilku żadnego listu, ani słowa od królowej.

Domyśla się, że tam ktoś mu ją zniechęca jakimiś fałszywymi doniesieniami.

Spojrzył w oczy Radziejowskiemu, który z największym bezwstydem zawołał:

— Ale cóż znowu? królowa może w listach króla coś znalazła, co dało powód do nieukontentowania.

— Ja czytuję listy te — odparł kanclerz — nigdy w nich nic nie było, coby nie dowodziło przywiązania i poszanowania.

Radziejowski uśmiechnął się:

— Ludzi ztąd — rzekł — wysyłają tyłu, ktoś może co splótł. Królowa zazdrosna o żonę moją.

No — dodał — może i nie bez słuszności, bo król oddawna jej słodkie oczy robi.

Zmarszczył się kanclerz.

— Jak możesz mówić coś podobnego? — odezwał się surowo. — To są żarty...

Leszczyński po chwili, nie obwijając już dłużej, odezwał się:

— Z Warszawy królowi donoszą, że to wać pana listy do N. Pani są wszystkiego przyczyną. Król był dotąd na was łaskaw: nie godzi się...

— Ja żadnych listów nie piszę! — wykrzyknął zuchwale Radziejowski.

— Żadnych listów? — powtórzył Leszczyński, i przeszedł się po pokoju.

— Nadzwyczaj mi to bolesne — odezwał się — lecz polecenie króla spełnić muszę. Zobaczcież co to jest — i odczytajcie! Z tonu i treści łatwo wniesie, że to nie pierwsze pismo i że poprzedzające nie lepsze były.

Na widok listu, który kanclerz dobył i rozłożony pokazał Radziejowskiemu, zmieniła się twarz jego: zbladł, zamilkł. Oczy wlepił w papier i stał nie mówiąc słowa, ale to chwilowe przybicie i upokorzenie złapanego na kłamstwie i zdradzie, wpręde się w gniew tłumiony, złość i pragnienie zemsty zmieniło.

— Cóż wy na to, panie podkanclerzy? — zapytał Leszczyński.

— Ja? nic — rzekł Radziejowski. — Winy w tem nie widzę, piszę, co sądzę, piszę tak, bo tak myślę, królowa ma zaufanie we mnie, a król...

Ręką rzucił.

Ks. Leszczyński nie miał zlecenia od króla, ani wymówek czynić, ani groźb — list napowrót złożony schował i zamilkł.

Radziejowski, choć starał się okazać obojętnym — mocno był pomieszany, usiadł i głęboko się zadumał.

— Mam nieprzyjaciół — począł mruzczyć — ich to są sprawy.

— W tym razie — rzekł Leszczyński — największym wrogiem wy jesteście sobie. Uniewinnić się nie podobna... starajcie się, aby wam król przypomniał, żeście przeciwko niemu przewinili.

Nie odpowiadając, Radziejowski powstał.

— Ja moje obowiązki pełnię gorliwie — rzekł — a że cenzurze poddaję czynności monarchy zbrodnią to nie jest. Słuchać mnie nie chce, muszę się skarżyć gdzieindziej.

Leszczyński przerwał mu ręki skinieniem, jakby chciał się wyrazić, że wszelkie tłumaczenie próżne. Pomyślny nieco podkanclerzy, ukłonił się, pożegnał i odjechał.

Nie udał się jednak dnia tego do króla, ale konia zmienił i jechał swoją rejtaryą oglądać do obozu. Tu, znalazłszy towarzystwo, które mu do humoru przypadło, zabawił do wieczora.

Tymczasem Tyzenhauz, wypatrywszymoment, gdy podkanclerzego w domu nie było, podkradł się do fraucymeru samej pani i ochmistrzyni wręczył papier — szepnąwszy tylko, ażeby go po przeczytaniu podkanclerzyna zwróciła natychmiast.

Był to — *corpus delicti*, ów list pana Radziejowskiego do królowej, gdzie piękna pani Elżbieta i o sobie mogła coś znaleźć... wcale nie pochlebne.

Co się tam działo przy czytaniu, jaki gniew i wściekłość ogarnęły podkanclerzynie, która je-

cząc i łkając, na łóżko się rzuciła — tego opisać nie podobna.

Ocucono ją, otrzeźwiono a list natychmiast Tyzenhauz odniósł napowrót królowi, który, nie okazując po sobie tego co doznał, z hetmanami cały dzień spędził na rozporządzaniu wojskami.

Radziejowski wahał się w początku: czy mu tegożsamego dnia jeszcze się należało, brawując gniew, pokazać się przed Janem Kazimierzem. Zabrakło mu na to odwagi — i król od nieznośnego dla siebie oblicza był wolnym. Nie tęsknił też po nim.

Wróciwszy do gospody p. Hieronim dowiedział się o chorobie żony, ale, nie zwazając na nią, wszedł do sypialni. Sposób, jakim go przyjęła kazał mu się domyślać, że odkryta korespondencya i tu już tajemnicą nie była.

Radziejowski dla spoczynku wniósł podróż do Kryłowa — ale podkanclerzyna wręcz mu odpowiedziała, że powrócić zamierza do Warszawy.

— Królowi JM. jeszcze większą W. pani tem uczynisz przykrość, niż mnie, mężowi *in partibus*, który nim tylko dla ludzi jestem — rzekł szydersko mąż.

— Zdaje się — zawołała podkanclerzyna — iż tyle razy już mi Wpan królem przymawiałeś, iż powinienbyś co nowego znaleźć dla dokuczenia mi.

Radziejowski gwałtownie zmienił ton.

— Ja sobie nie życzę, abyś Wpani jechała do Warszawy — rzekł. W Kryłowie będzie bezpiecznie; możesz się tam zatrzymać.

Podkanclerzyna wzgardziła sprzeczką i odpowiedział; zawołała na służbę, aby jej wody podała, i dumnie odprawiła męża; żegnając go, a że on przy sługach kłótai wszeczynać nie chciał, — wyszedł gniewny.

Nazajutrz po uczcie z wojskowymi na mieście, która się bardzo długo w noc przeciągnęła, podkanclerzy, wstawszy, gdy spytał o żonę, odpowiedziano mu, iż przed kilku godzinami wyjechała.

Na zapytanie — dokąd? — nikt mu nie umiał odpowiedzieć. Listu nie zostawiła żadnego, sługom nie mówiła dokąd jedzie.

To samowolne wyzwolenie się niespodziewane Radziejowski, w obawie zbytniego rozgłosu, pokrył milczeniem napozór obojętnem, choć przewidywał w niem oznakę zupełnego zerwania stosunków. Jakiś czas łudził się słabą nadzieją, że podkanclerzyna mogła się udać do Kryłowa, ale odebrane ztamąd listy — nic o niej nie mówiły. Nie było więc wątpliwości, iż pojechała do Warszawy.

Odjazd ten i wypadek, który króla od niego odstręczył — położenie uczyniły nader trudnem. Był nadto dumny, aby się starać prześlagać; zdawało mu się, że podkanclerstwo i stosunki, jakie miał — dozwalały stanąć opornie i wrogo przeciwko słabemu panu.

Po namyśle więc postanowił nie schodzić z placu, walczyć.

Cały plan miał już w głowie osnuty. Wojsko złożone z żywiołów najróżnorodniejszych, zawierało sporo warcholów i już w związkach wypróbowanych krzykaczy; podburzył ich, upatruwszy chwilę, Janowi Kazimierzowi utrudnić każdy krok, uczynić się potrzebnym, jako rozjemcą... zdało się prostem i łatwym.

Tymczasem zaś podkanclerzy postanowił na objawy niechęci i wstrętu nie zważać i miejsce swe utrzymać naprzekór królowi.

Następnego dnia zaraz stawił się na pokoje: król ani spojrzął na niego; spróbował przemówić: nie odpowiedział. Nie skrócił przez to swego pobytu przy osobie króla; towarzyszył mu, gdy przyprowadzono jeńców, przy indagacji Kozaków, wtrącał się ciągle i głos zabierał.

Leszczyński nie mógł się wydziwić zuchwałstwu.

Nadszedł dzień Bożego Ciała, a że razem przysłany z Rzymu jubileusz ogłosić miano, uroczystość tę król obchodził z nadzwyczajną wystawą i wspaniałością. Przyczyniali się do tego wszyscy.

Cztery ołtarze wystawili: jeden podkanclerzy litewski, drugi biskup kijowski, trzeci koniuszy koronny, ostatni — kasztelan krakowski. Kobierce, opony, a przy tem zieloność i kwiaty, sprzęt sre-

brny, którego w obozie było podostatkiem, dozwolili poubierać ołtarze z wytwornością wielką. Każdy miał prawie jakiś obraz z sobą, więc i tych nie zabrakło. Naostatek kopie, chorągwie, proporce, tarcze, przystrajały świetnie cztery ołtarze. Kapłanów i duchowieństwa w obozie liczono do czterechset.

Wyniósł z namiotu króla Przenajświętszy Sakrament Leszczyński kanclerz; nad nim baldachim niesli czterej senatorowie, a tuż szedł pobożnie ze świecą w rękę król, otoczony ministrami, dygnitarzami, urzędnikami i rycerstwem.

Pułki ustawione po drodze do nóg niosącego monstrancją chorągwie na ziemię pochylały, dawano ognia z dział i ręcznej broni, muzyki grały, i uroczystość ta razem z ogłoszonym jubileuszem ducha podniosła.

Ci nawet, co dotąd szydersko i lekkomyślnie poczynałi sobie, uczuli potęgę jakąś w tych szeregach mających walczyć za wiarę, spokój, w obronie kościołów i rodzin, świętości swych i skarbów. Przewidywali też wszyscy nadchodzącą już bliską chwilę, która rozstrzygnąć miała...

Rozumie się, iż podkanclerzego nie brakło też worszaku pobożnym, chociaż obojętnem sercem brał udział w uroczystości. Strojem tylko wytwornym, dumną miną, obliczem starał się okazać, że mimo języków ludzkich, nic mu się nie stało.

Król o całej sprawie nakazał milczenie i nikt też rozgłaszać jej nie myślał, ale sam Radziejowski w obawie, aby na niekorzyść jego nie tłómaczono pogłosek, postarał się oczernić żonę i króla, na nich składając wszystko.

Udawał mocno dotkniętego, pokrzywdzonego, ofiarę potwarzy i przewrotności niewieściej.

Byli tacy łatwowierni, którzy się nad nim litowali.

Strzębosz od przybycia króla do wojska, nie mógł się oprzeć pokusie zabiegania to do chorągwi dworzan królewskich, w której miał przyjaciół, to na sam dwór, a i król nawykły dawniej do usług jego, bałamucił go. Służba więc pod chorągwią nie była bardzo gorliwą i Xięzki codzień go strofował.

— Z dworaka chceć zrobić żołnierza — mówił — to tak, jak z wosku nóż... Bić to ty się będziesz, bo się odezwał krew szlachecka w tobie, ale żebyś się ty w rycerstwie rozmiłował, wątpię.

Prowadził go wuj z sobą po namiotach, gdzie starzy rębacze się skupiali, opowiadając o swych wyprawach i walkach. Strzębosz słuchał z wielkiem zajęciem, ale gdy potem zbiegł na dwór i poczęli mu dawni towarzysze sypać plotki, szepać, co się tam działo, daleko więcej się intrygami roznamiętniał i więcej czuł do nich powołania.

Król go też bałamucił, kilka razy go spotykając zagadywał.

— A mnie ciebie brak! Co ty tam wielkiego dokazesz w regimencie? Bić się potrafi każdy, ale rozumnie sobie począć i sprawić się z delikatnem poselstwem, nie lada kto umie.

Pochlebiało to Strzęboszowi. Wracał do wuja i chwalił się. Xięzki mruzczał:

— Cóż ty chcesz na kursora królewskiego wyjść? a potem co? Pilnuj chorągwi i nie myśl o bzdurstwach.

Po wyjeździe podkanclerzyny, po długim milczeniu królowej, gdy się potrzeba okazała zaufanego człowieka do Warszawy śłać, ktoś podszepnęła Strzębosza.

Kazano go do króla wołać.

Jan Kazimierz mu rękę położył na ramieniu dobrotliwie, i szepnął:

— Gdybyś ty mi do Warszawy pojechał?

— N. Panie — odparł Strzębosz — jestem pod regimenterem i władzą wuja mego, Xięzkiego, ten już i tak mi zadaje, że niedosyć mam rycerskiego ducha.

— Gdzie wasza chorągiew stoi w obozie? — spytał król.

Dyzma o ile mógł dokładnie miejsce oznaczył. Nazajutrz król podjechał ją lustrować. Stał Xięzki na przodzie, a znał go Jan Kazimierz,

jako jednego z tych, co szablą równie, jak językiem ostro siekli.

— Mój Xięzki — odezwał się — jak się wam zdaje, czy Rzeczypospolitej służyć inaczej nie można poczciwie, tylko w karacenie i szyszaku?

— N. Panie — zawołał Xięzki — i owszem, sądzę, że nawet w siermiedze.

— No, a w dworskiej barwie? — zamruczał król, spoglądając wkoło i oczyma szukając Strzębosza.

— Kto się do czego urodził, miłościwy panie i królu — rzekł Xięzki — w królewska mość mi przebacysz — ale ja przenoszę rycerza nad pajuka.

— A z pajuków i dworzan przecie rosna piarsze i kanclerze — dodał król.

— Tylko, że na stu przepadłych, jeden się ledwie uda! — zakończył Xięzki.

Dał król znak, aby się do niego przybliżył.

— Pożycz mi wmość siostrzeńca — szepnął — mam potrzebę wielką zaufanego posłańca...

Xięzki się pokłonił. Król rozkazuje — rzekł — a my z ochotą słuchamy. Boję się tylko, N. Panie, aby pojechałszy tam nie ugrzązł, bo pokusy są, a on młody.

— I ja nawet jedną znam, ładna dziewczyna — dodał Jan Kazimierz wesoło — ale nie ma niebezpieczeństwa, choćby tam ugrzązł, bo posag będzie miała znaczny, a ja też w pomoc przyjdę.

W ten sposób, zaledwie rozpoznawszy swą służbę rycerską, Dyzma znowu z szeregów urlopowany wprawdzie tylko, musiał na koń siąść i jako posłaniec króla z innymi do Warszawy pojechać.

Trzeba mu jednak oddać tę sprawiedliwość, że gdy przyszło chorągiew opuszczać, wojsko rzucić i to w chwili, gdy się walka zbliżała, serce mu się ścisnęło. Wolałby był pozostać, choć go czarne oczy ciągnęły. Po części mu też wstyd było, bo towarzysze żartowali sobie z niego, a Xięzki poprostu sztydził i chłostał.

— Żebyś był choć poczekał i choć jeden ośledec kozacki królowej jmości zawiózł na dowód wiktorii!

Prawie w tejsamej chwili, gdy wojsko ku Beresteczku na Łobaczówkę wyruszało, musiał Dyzma w przeciwną stronę dniem i nocą pędzić z listami do Warszawy.

### III.

Z dawienawna służba i dwór Radziejowskiego do przyjmowania gości hojnego była wdrożoną. Ojciec jego szumił i obdarzał w Radziejowicach Zygmunta IV, sam podkanclerzy zdumiewał poselstwo pani de Guébriant przepychem i rozrzutnością; w Bielsku nareszcie, jako starosta Łomżyński jeszcze przyniósł się, pojąc i karmiąc, a obsypując podarkami Jana Kazimierza i dwór jego. Radziejowscy trzymali się tej zasady, że chlebem i winem serca się najłatwiej jednąją. Podkanclerzym zostawszy, a za żonąmi nazbierawszy majątności, p. Hieronim nie zmienił obyczaju. W obozie też miał z sobą czem gościć, karmić i pić, i grosza na to nie żałował. Doświadczył, że mu się opłacała gościnność.

Teraz zaś, gdy się zanosilo na walkę z królem jmością, którą on miał tylko podpałać, ażeby ją potem gasić pomagał, skupianie około siebie gorętszych żywiołów, krzykaczy i rokoszan obozowych, było najważniejszym podkanclerzego zadaniem. Jego rejtarya i z szeregów jej wojskowi służyli mu i z ręcznież użyci, jako wabiki i przynęta. Z ich pomocą ściągali rozpatrzonych ludzi, co swadę mieli łatwą i obfitą, a temperament zółciowy.

Poszlakowanym w tym spisku nie obawiał się być podkanclerzy, bo pijatyki i uctowania obozowe, przy których się swobodnym słowem powinie to i owo wywoływało, nie mogły razić nikogo. Były to rzeczy powszednie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu.

(Dr. Longchamps. — Szpital chorych nieuleczalnych. — Zjazd pedagogiczny i wycieczka do Drohowyża. — Kolonie wakacyjne. — Stacja klimatyczna w pobliżu Lwowa. — Opis *Abbazii* przez prof. Tymieckiego. — Lecznica lwowska. — Album na korzyść pogorzelców stryjskich. — Sambor Stryjowi. — Nieustająca wystawa Sztuk Pięknych. — *Album wystawy archeologicznej*, wykonane w zakładzie fotograficznym Trzemeskiego.

Mieliśmy temi dniami piękną uroczystość, która się rzewnem wrażeniem w pamięci obecnych zapisała.

Dr Bogusław Longchamps, jeden z najstarszych lekarzy tutejszych, święcił pięćdziesiątletni jubileusz doktoratu lekarskiego, otrzymanego na uniwersytecie prazkim, w onym czasie, gdy powyższe wykształcenie i stopnie akademickie młodzież lwowska musiała się, dla braku źródeł naukowych w miejscu udawać do Wiednia lub Pragi czeskiej. Dr Longchamps należy do najpopularniejszych postaci we Lwowie; pochodzi z rodziny mieszczańskiej, z dawna osiadłej we Lwowie, zaliczonej według dawnej organizacyi miejskiej, do tak zwanych *patrycyuszów* lwowskiego mieszczaństwa; żołnierz zamłodu, następnie oddawszy się zawodowi naukowemu i praktyce lekarskiej, spędził kilkadziesiąt lat w usłudze miasta jako lekarz miejski, piastując przytem rozmaite godności obywatelskie, wymagające pracy i poświęcenia na polu spraw publicznych. Gdziekolwiek powoływano do pracy w imię dobra publicznego, tam zawsze dr Longchamps stawał w pierwszym szeregu do służby dla społeczeństwa. Piękna to postać — charakter nieskazitelnym — będący wzorem cnót obywatelskich. Nie można się tedy dziwić, że wszystkie sfery społeczeństwa tutejszego pośpieszyły skorzystać z okazji jubileuszu, aby mu wyrazić uznanie tych cnót i pracy. A najpierw Rada Miejska, wynagradzając zasługi dla miasta przez sędziwego jubilata położone, obok koleżeńskich, jako dawnemu radnemu życzeń, złożyła mu w darze *tysiąc* guldenów, imieniem miasta, i nchwaliła przyznać do śmierci emeryturę mogącą spokój starości zapewnić. Lekarze ofiarowali mu album pamiątkowe ze swemi fotografiami. Składały następnie życzenia rozmaite deputacye, obywatelstwo miejskie, licznie zgromadzone koło literackie i t. d. Wieczorem odbyła się uczta składkowa w Kassynie miejskiem. Uroczystości jubileuszowe podobnego rodzaju powtarzały się u nas parę razy temi czasy. W ostatnim liście pisałem o takim uczczeniu zasług Mieczysława Darowskiego, prezesa „Gwiazdy.“ Obchody te mają także i przeciwników swoich, bo gdzież się tacy nie znajdują — utrzymujących, że rzecz sama w sobie niema celu i innego oprócz krasomówczych popisów pożytku. Jestto zapatrywanie się zbyt realistyczne. Obchody tego rodzaju mają swą doniosłość; swój cel moralny w życiu społeczeństw: przekazują one tradycyą zasług przeszłości młodszemu pokoleniu, podnoszą piękne wzory cnót obywatelskich, zachęcają do ich naśladowania. Uczczenie prawdziwej zasługi nigdy nie jest zbędnym i nie pozostaje bez skutku.

Podniesiono tu myśl, której urzeczywistnienie byłoby bardzo pożądanem. Chodzi mianowicie o założenie Domu ochrony chorych nieuleczalnych. Utrzymywane kosztem kraju szpitala publiczne nie przyjmują i wydalają chorych nieuleczalnych, nie posiadając na ten cel umyślnie przeznaczonych funduszy. Okropny jest stan takich nędzarzy, którzy stają się albo ciężarem rodziny lub pozostają bez opieki w rozpaczliwym położeniu. Dobroczynność prywatna musi tu zastąpić brak funduszu publicznego; jakoż zaczęto się od niejakiemu czasu krzątać u nas dosyć gorliwie około założenia osobnego szpitala nieuleczalnych. Zaczyna ksiądz Gorazdowski, wikary parafialny u św. Mikołaja, zajął się urządzaniem tegoż na małą skalę funduszami skład-

kowemi w tymczasowem pomieszczeniu. Hrabina Wacławowa Baworowska ofiarowała na ten cel 12.000 guldenów, z procentu od których, nim się zbierze summa potrzebna na budowę szpitala, utrzymuje dwa łóżka w szpitalu Sióstr Miłosierdzia. Jest więc początek zrobiony, ale rzecz postępuje bardzo powoli i chcąc przyspieszyć wykonanie pięknego zamiaru, trzeba zasilić zebrane już fundusze jakąś większą kwotą, aby można pomysleć o rozpoczęciu budowy. Owóż jest właśnie fundusz, martwo leżący, któryby się na to dał użyć bardzo właściwie: mianowicie zebrany po śmierci byłego Namiestnika Galicyi Agenora Gołuchowskiego fundusz składkowy na postawienie mu pomnika. Przyjaciele i zwolennicy zmarłego powzięli byli myśl tę i w pierwszej chwili złożono ze składki w całym kraju rozpisanej około 16.000 guldenów. Na tem skończyła się składka i do dzisiejszego dnia nie zdołano doprowadzić jej do kwoty dostatecznej na sprawienie pomnika projektowanego. Kraj nie podzielił zdania entuzjastów, składających grono wielbicieli hr. Gołuchowskiego. Był on sprężystym bardzo urzędnikiem, dobrym administratorem, wiernym wykonawcą myśli rządowej zgodnie ze zmieniającymi się kolejno kierunkami, władzącymi Austryą za czasu jego kilkakrotnie powtarzających się rządów namiestniczych w Galicyi ale z tem wszystkim ci co go projektowali dlań pomnik spiszowy, doznali zawodu. Zrobiono tedy obecnie wniosek aby przeznaczone na ten cel nieużytecznie leżące pieniądze z nieudanej składki pochodzące dołączyć do funduszu budowy szpitala nieuleczalnych i nadać temuż nazwę *Zakładu im. Agenora Gołuchowskiego*. Byłby to rzeczywiście pomnik, wspanialszy i trwalszy, a co najważniejsza pożyteczniejszy od spiszowych i spełniłaby się acz w odmienny od pierwotnego zamiaru sposób, myśl ofiarodawców, uczestników składki. Zezwolenie na to zależy od kuratora funduszu składkowego, p. Oktawa Piłtruskiego, wiceprezesa wydziału krajowego, który niewątpliwie z myślą tą się zgodzi, zważywszy, że niema już dziś najmniejszej nadziei, aby można fundusz ten zużytkować według pierwotnego zamiaru. Za danym przykładem poszłyby niewątpliwie i inne tutejsze zakłady finansowe, a widząc położony kamień węgielny przyszłej budowy, przyczyniłyby się hojnemi datkami do jej wzniesienia.

Jak zazwyczaj w porze letniej zaczyna się już Lwów coraz bardziej wyludniać, a kto może i zwykł w tej porze wyjeżdżać, wyjechał już lub wybiera się w drogę. W Czerwcu gwaro było przez chwilę podczas wyścigów. Obecnie niema już ani teatru, który wyjechał, rozdzieliwszy się na dwie grupy: operetkę i komedię, do Krakowa, Krynicy i Szczawnicy. Festyny ogrodowe nie udają się z powodu częstych deszczów. W połowie bieżącego miesiąca ożywi się jeszcze miasto Zjazdem Pedagogicznym, zwołanym w tym roku do Lwowa, na którego przyjęcie czynią się już ze strony miasta pilne przygotowania. Pedagogowie zakończą swe obrady wycieczką do Drohowyża dla zwiedzenia szkół i warsztatów tamtejszych fundacyi Skarbkowskiej. Około uzbierania funduszy na kolonie wakacyjne chłopców i dziewcząt, jak lat ubiegłych, krzątają się gorliwie twórcy i opiekunowie tej pięknej myśli, która się tak dobrze przyjęła na pożytek i zdrowie ubogiej dziatwy. Żydzi tutejsi, tworzący koło dobrze myślącej, postępowej inteligencyi, zajęli się przysposobieniem funduszy na urządzenie takichżesamych kolonii wakacyjnych dla ubogiej dziatwy żydowskiej. Będą one, taksamo, jak kolonie chrześcijańskie, pozostawać pod dozorem i opieką nauczycieli publicznych szkół ludowych tutejszych, którzy z godną uznania gotowością podejmują się czas wakacyi przepędzić z dziatwą w koloniach.

Ale i starsi oglądają się za jakimś miejscem wypoczynku, gdzieby można odświeżyć płuca i orzeźwić umysł pracą znużony. Komu niewystarcza przesiedlenie się na lato do przedmiejskich domków w lasku św. Zofii, na Bajkach lub Zamarstynowie i Hołosku, a kto nie potrzebuje kuracyi zdrojowej, lub nie posiada funduszy na dalszą podróż do miejsc kąpielowych, ten w prawdziwym znajduje się kłopotcie. Niema bowiem

dotychczas w pobliżu Lwowa zakładu klimatycznego jak za granicą, odpowiednio w zdrowym i pięknym z natury położeniu umieszczonego, a przytem stosownie i wygodnie urządzonego. Morszyn za daleko, Pustomyty w szczerem polu pozbawione wszelkiego powabu i warunków stacyi higienicznej, pomimo kępy szpilkowego lasku, nie mogą wabić ku sobie. Zresztą są to zakłady lecznicze, do których jadą raczej, chorzy chcący się pozbyć choroby, niżeli zdrowi, chcący tylko jej zapobiedz. Położenie o kwadrans drogi od Lwowa, przy stacyi kolei, Rudno i Zimnawoda, które chciano zamienić na stacyą klimatyczną nie posiadają niemniej ku temu, jak się okazało niezbędnych warunków. Mały lasek, w którym wystawiono drewniany jednopiętrowy dom, a raczej szałas z desek zbity, na pomieszczenie gości zjeżdżających na lato, nie nęci niczem ku sobie; okolica pusta i smutna, kąpiel daleko — słowem: Zimnawoda nie posiada niezbędnych warunków, mogących być ponętą dla zdrowych i chorych. Owóż obecnie jest nadzieja, że w krótkce będziemy mieli w pobliżu Lwowa leczniczą stacyą klimatyczną, odpowiadającą wszystkim warunkom. Kolej nowa prowadząca ztąd do Rawy i Tomaszowa, której budowa wnet się rozpocznie, a z przyszłym rokiem będzie ukończona, przechodzi o pół godziny od Lwowa przez wieś Brzuchowice, położoną w miłym zacisznym ustroniu, otoczoną wieńcem lasów i słomą z swego świeżego balsamicznego powietrza. Grono lekarzy zasiadających w Radzie miejskiej wniosło o utworzenie tamże stacyi klimatycznej, do której przyjazd ułatwia Lwowianom nowozbudowana kolej. Myśl tę podjęto przychylnie, a Rada miejska uchwaliła wszystko uczynić, cokolwiek do utworzenia Zakładu takiego okaże się potrzebnem, a to z tego powodu, że Brzuchowice są własnością gminy tutejszej. Nie tylko więc zyskują tym sposobem Lwowianie miłe i zdrowe miejsce wiejskiego na lato pobytu, ale zyska też gmina, jako gmina, przysporzywszy sobie dochodu przez utworzenie Zakładu. Oprócz tego wiele osób przedsiębiorczych, przewidując w tem zyskowny interes zamierzyło budować tam dworki na wynajem dla gości, przybywających na lato. Stworzy się zatem cała kolonia klimatyczna w powabnej okolicy i w pobliżu Lwowa, iż dla wielu tutejszych mieszkańców będzie bardzo dogodną rzeczą.

(Dokończenie nastąpi).

## KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

(Dalszy ciąg).

Maj.

Siedziałem nad rzeką. Wieczór nadchodził. Patrzyłem uważnie w przestrzeń i śledziłem najdrobniejsze zmiany kolorów i cieni. Powietrze w D... jest pełne zawsze wilgoci, często mgliste z powodu wielkiej rzeki i blizkich gór, ztąd ta śliczna, świeża zieloność, te dziwne gry światła na niebie, te różowe tęcze naokoło księżyca, i te, prawdziwie, jak magiczne, przedstawienia na horyzoncie o zachodzie słońca. I teraz przestrzeń przepelniona była drobnymi kłębamii pary przejrzystej; obłoki te zaczęły się mienić, migać, rozpląwać i znowu powstawać, niby z nicości. Tam, gdzie słońce zapasło miało w rzekę, wisiała od góry do dołu wielka zasłona, a na nią słońce rzucało grę kolorów. Najpierw wszystko blade, perliste, potem różowe, żółtawe, złote; słońce, zniżając się powoli, coraz bardziej płonęło, jakby mu wstyd było czołem uderzyć o ziemię. Naraz dotknęło wody, zaczęło się chwiać, wahać, pałać — pałać jak wielki rubin. Wstałem mimowoli. — Co to jest? — pytałem siebie — jesczem nie równego nie widział! Teraz zasłona mieniła się falowała, drząc kolejno wszystkimi kolorami, które wracały w odwrotnym porządku, złote żółtawe, różowe, perliste, blade idealne, niewidzialne. Ludzie przechodzący tarasem przysta-

wali i, opierając się o balustradę — patrzyli... jaśkółki półkolem przecinały powietrze; pod trzema oświetlonymi mostami, jak pod łukami światła, przepływa szumiąca rzeka, bijąc o kamienne brzegi, czasem statek z zieloną lampą zatrzyma się cicho w przystani, lub zabrawszy podróżnych, odpływa w dal... z obu brzegów, niesione wiatrem, wieją szerokie melode mego mistrza, spotykają się w powietrzu nad rzeką i idą dalej razem z falami wody. Czułem spokój niewysłowiony, radość głęboka podnosiła mi piersi, wdychałem, szczęśliwy, że żyję, że widzę niebo i wodę, że słyszę szmery powietrzne, że czuję tę uroczą godzinę wieczoru, patrzącą na mnie gwiazdzistemi oczyma. I gdybym tam miał jakiego przyjaciela, byłbym z nim... nie! — nie byłbym z nim rozmawiał — milczelibyśmy. Milczeliśmy razem... gdy można, — to także coś z wielkości. Byłem sam i znów wstąpiłem w siebie.

Tak byłem uspokojony, że zdawało mi się, że słyszę krok moich myśli śpieszących gdzieś naprzód, że słyszę szelest mych marzeń. O, w duszy mojej już nie było milczenia; był tam gwar, wrzawa, ścieranie się wyobrażeń i pojęć; słuchałem tego ruchu, patrzyłem weni, z rozkoszą rzucałem się całą duszą to w jeden jej stan, to w drugi, smutny, wesoły, poważny, i doświadczałem z zadowoleniem, że mogę czuć i myśleć, jak chcę. Mur niewidzialny, który mnie otaczał tak długo, który mnie zamykał, jak w przejrzystej kuli szklanej, obojętnej na wrażenia światła — mur ten, o który opierałem głowę płonąca bolesnym wysileniem, zaczynał pękać nareszcie, rozsuwać się i, jakby mi ciężki hełm spadł z czoła, unosiłem swobodną głowę do góry, czując się dziwnie wolnym. Więzienie moje było otwarte. Stałem na progu, nie śmiąc wyjść; odzwyczaiłem się od szerokich przestrzeni poezji i nie ufałem sobie, czy mi sił do lotu starczy. Tak ptak, długo w klatce zamknięty, gdy się wyrwie na wolność — niedaleko na gałązce przysiadła i czeka i słucha, czy to czasem nie złudzenie, i dopiero, wyprstowawszy skrzydła, ucieka w otwarte przed sobą powietrze; tak jeleń lesny, trzymany w zamknięciu, gdy mu się uda przestąpić próg zwierzyńca, waha się, czy pójść dalej, czy zostać, ale gdy wiatr mu odgłosy puszczy przyniesie, i szmer zdrojów i zapach gęstwiny, rzuca się w wabiący go swobodą bór.

Nabrałem nowego oddechu do życia.

Dawniej, kiedyś, gdy jeszcze nie był poetą, lecz tylko ogniskiem myśli i uczuć — brakło mi formy zewnętrznej do ich wyrażenia. Szukałem jej wszędzie, na każdym listku rośliny, na piórku, które mi ptak strząsnął w przelocie, w spójrzeniu każdej gwiazdy, w szmerze kołyszącego się zboża, w szumie lasu, w spokojnem falowaniu stawu — wszędzie. Wpatrując się w jeden kwiat godzinami, starałem się odgadnąć związek jego piękności z tym właśnie kształtem i barwą, w jakich się objawiła. Wsluchując się w głosy natury, rozważałem, jak szmer każdy odpowiada swemu przeznaczeniu, jak wyraża to, co powinien, jak umie być częścią ogólnego nastroju świata. Szukałem i znalazłem. Dziś co innego. Tworzącej się w umyśle, zewnętrznej formie nie mam jescze czego powierzyć; brak mi treści; myśli i uczucia moje wydają mi się zbyt drobnymi i bladymi, aby je warto przelewać w kształty poetyczne; urabianie samych kształtów beztreściowych byłoby upokarzającą robotą, sama forma nie ma racyi bytu. Życie może i jego cierpienia przyniosą z czasem ducha tej oczekującej na niego formie. Zawsze trzeba mi będzie zacerpnąć z kielicha boleści. Jam gotów. Czuć treść, a nie mieć formy; mieć formę, a nie czuć treści w sobie: nie wiem, co bardziej męczy. Dziś, mając myśl więcej rozwiniętą, właśnie dla tego cierpię silniej, że cierpię rozumniej. O, gdy cierpienie stanie się rozmyślającym, gdy cierpienie rozumnie siebie dobrze, głęboko, — jest czasem nad siły! Wrażenia, które w tych czasach odbierałem, wyrabiały we mnie nowy ruch umysłowy, ale były jescze za świeże, aby wytworzyć coś nowego; robiły tymczasem co mogły: uczyły mnie formy. Nic nie pisałem, ale już czułem, żebym mógł, nic mi się już pod myślą nie łamało, nie doznawałem przeszkody. Widma poezji przelaty-

wały, jak stado spłoszonych ptaków, ale ja nie śmiałem ich zatrzymać. To nic — mówiłem sobie, to tylko tak! niech leca! Rzeźba nadała pojęciom moim o pięknie — ściślejszej stałości, malarstwo zabarwiało wyobraźnię, muzyka rozbudzała poczucie rytmiczności. Cóż dalej mam robić? Poezyą zamienić na żywiol, żywiol przepromieniować ideą — o, o! to trochę za dumnie, to nad moje siły! — Wietrzyk muskał mi czoło, wietrzyk majowy. Ciepło było wiosna śpieszyła się z rozwinięciem wszystkiego. Ruch natury był w pełni, ale ja nie należałem jescze do niego. Czułem wiosnę nazewnątrż, ale jescze nie w sobie.

Wszystko dąży do wspólnego wirowania, do życia tem, co się dzieje w całym świecie... Czuć pewną moc w sobie, a nie wiedzieć, jak połączyć ją z działającymi dokoła nas siłami; czuć w sobie prąd tajemny, a nie mózż go złąć z całością ogólnego dążenia: to czasem tak smutne i ciężące na duszy, że chciałoby się jednym ruchem zrzucić z siebie ten głąz i zerwać się i lecieć gdzieś bez wytechnienia. Potrzebowałem odpocząć po wrażeniach.

Natura mnie wabiła. Sztuki miałem dosyć. Mogłem ją podziwiać i myśleć przy niej, ale... kochać — nie. Ciągnęła mnie tęsknota do przyrody, gdzie wiem, że w każdym miejscu bije serce, pali się jakieś żądanie, drga jakiś ból. Nie! nie zostanę dłużej w mieście. Pójdę gdzie w góry. Nic mnie tu nie zatrzyma; wyczerpałem wszystkie wrażenia. Niech sobie muzea i galerie stoją, niech szumi fontanna pod moimi oknami, gołębie niech się w niej kąpią: zostawiam wszystko — i mirty zielone, i mój balkon, i wróble pukające rankiem do okna, żeby im dał pić, i moje gospodynie Niemki, które są złe, że się wynoszą. Nadokuczały mi dosyć przez ten rok, com tu mieszkał, śledząc mnie, jakby jakiego Wandala, czym czego nie popsuł, nie stłukł, nie zarysował, nie rozdarł, i w końcu kazały na mój rachunek odpoliturować stary jak świat garnitur, pamiętający pewnie Götza z Berlichingen, którego zniszczenie miało na mojem niby leżeć sumieniu. Oburzyłem się i spytałem jednej z trzech „Fraulein“, która udawała najładniejszą: „Warum sind sie so böse?“ Odpowiedziano mi energicznym zamknięciem drzwi, a ja chcąc rozstać się w zgodzie, rzuciłem na pożegnanie melancholiczną piosenkę Heinego: „Leb' wohl, mein Kind, ich wandre von hier!“ W parę minut byłem już nad brzegiem rzeki; za chwilę, stałem na pokładzie parowca; a jescze po chwili wśród mroków i mgły dżdżystego dnia, który mnie jednak do półdroży nie zrzucił, wpatrzony w szarzące brzegi, jechałem w dal, myśląc:

„Otoczyły mnie wkoło moje równie sennie  
Pasmem jednakiem;  
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne, —  
Umiem być ptakiem!“

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYŻKIE.

(Dokończenie)

Paryż, w Czerwcu 1886 r.

Skorośmy mimochodem zajrzeli do Ameryki, powiedzmy słówko o świeżo odkrytej tam Ziemi cudów. Prezes Towarzystwa geograficznego Belgijskiego, Juliusz Leclercq, zwiedził niedawno Stany Zjednoczone. Za powrotem do kraju, wydał ciekawą książkę pod tytułem: *La Terre des merveilles*. Tą ziemią cudów jest płaszczyna ciągnąca się na wielkiej wysokości, otoczona łańcuchem Gór Skalistych. Kilkanaście lat temu jescze ta cudnie piękna okolica nieznaną była światu. Geolog Heyden odkrył ją dopiero w roku 1872. Oprócz Amerykanów nikt jej dotąd nie opisywał.

Kongres Stanów Zjednoczonych, ze względu na czarodziejską piękność tego zakątka zamienił go w park narodowy i rozciągnął nad nim

bezpośrednią opiekę rządu. Park tak olbrzymich rozmiarów nie istniał dotąd w świecie. Powierzchnia jego czworoboczna zajmuje 9,000 kilometrów kwadratowych. Wynosi to trzecią część rozległości Belgii. Otoczony szanccem olbrzymich skał i lodozwałów, zamyka w sobie wielkie jezioro Yellowstone, jedno z najwyższych położonych na kuli ziemskiej, podsycane śniegami i strumieniami, które w dalszym biegu zamieniają się w ogromne rzeki, jak Missury, rzeka węzowa, Zielona i inne, przestrzeń to czarodziejska w całym słowa znaczeniu. Zdumiony podróżnik spotyka tu co krok otwarte paszcze kraterów, kipiących lawą wewnętrzną, rzeki gorącej wody, jeziora buchające parą, wodotryski ukropu, katarakty większe od Niagary, góry z kryształu i siarki.

Pan Leclercq w żywy sposób opisuje te wszystkie cuda, dodając do tego ciekawy obraz fanny i flory miejscowej.

Pusta wyspa w Ameryce południowej, którą Daniel Foe wślawił w świecie, mieszczą na niej Robinsona Cruzoa, pozyskała dziś nowy rozgłos, przyciągnęła bowiem do siebie, już nie samotnego rozbitka wyrzuconego burzą, ale garstkę pracowitych karczowników, którzy pod kierunkiem śmiałego przedsiębiorcy, przemienili całkiem jej postać.

Przygody Robinsona, jak wiadomo, jakkolwiek spotęgowane wyobraźnią poety, nie były przecież prostą fikcją. Owym Robinsonem był majtek Szkocki, Alexander Selkirk: ten przebył lat pięć na odludnej wyspie Fernardez. Od chwili, jak ją opascił oswobodzony majtek, wyspa opustoszała znowu; przez lat sto kilkadziesiąt nie było na niej żywej duszy. Dopiero w roku 1812, Szwajcar Rodt zadzierżawił ją od Rządu Chilijskiego i założył na niej rolniczą osadę, która przysłała dziś do kwitnącego stanu.

Rodt ma lat przeszło czterdzieści. Nieprześlągany wróg Prusaków, burzliwe przechodził już koleje. W roku 1864 zaciągnął się do armii austriackiej, a we dwa lata potem odbył w Czechach pamiętną kampanię. W roku 1870 przybył do Paryża, odznaczył się w bitwie pod Champigny, służąc w batalionie przyjaciół Francji.

Dziś jest on wszechwładnym panem wyspy Robinsona. Pod zwierzchnią władzą Rządu Chilijskiego, który nie miesza się w sprawę kolonii, trzyma on w ręku władzę administracyjną i sądową. Dzienniki Amerykańskie utrzymują, że w żadnej republice nie panuje ład tak wzorowy, jak w tem małym państewku.

Sprawa pomnika mickiewiczowskiego tak silnie poruszyła prasę naszą i tak żywo zajęła ogół, że nieobojętną będzie może wiadomość, jaki monument, jeden z pierwszych rzeźbiarzy francuzkich Dalon, obmyślił do Panteonu, na grobowiec Wiktora Hugo. Jest to dopiero prosty szkic wystawiony w salonie. Czas konkursu jeszcze nie nadszedł, potrzebna kwota nie zebrana, podpisy nie wynoszą dotąd 100,000 franków. Czy projekt pana Dalon znajdzie uznanie, obok dzieł innych współzawodników, którzy wystąpią z nim do zapasu, trudno dziś o tem sądzić. Dajemy opis owego szkicu, jako prostą ciekawość, wprzód jednak powiedzmy słówko o rzeźbiarzu. Na rok przed wojną wystąpił on po raz pierwszy w salonie; otrzymał medal trzeciej klasy; po klęskach Francji, młody szaleniec uniesiony rozpaczą, wpłatał się do komuny, wraz z innym rzeźbiarzem Hareau. Przeznaczono ich do straży nad skarbami artystycznymi w Luwrze. Kiedy rząd regularny schronił się do Wersalu, a komunardy rozpostarli władzę nad Paryżem, rozkazano złożyć amunicją w salach antyków. Konserwator Luwru Barbet de Jouy, zalewał się łzami na myśl o okropnych skutkach tak barbarzyńskiego rozkazu. Dalon i Hareau, podzielać trwogę konserwatora, biegną na ratusz, niszczą szalony dekret. Nim Wersal pokonał komunę, Dalon zdążył uciec do Anglii. Sąd wojenny skazał go na śmierć wyrokiem zaocznym.

Po amnestyi Dalon powrócił do Paryża. W trzydzieści lat po pierwszym wystąpieniu, zabłysnął w Salonie dziełem pierwszorzędnej wartości. W ogromnej wypukło-rzeźbie przedstawił słyn-

ego Mirabeau, kiedy wobec zebranych stanów, w roku 1789, piorunem słowa powalił monarchią. Przyznano artyście medal honorowy.

Z szaloną werwą naszkicował Dalon w tym roku zarys pomnika dla Wiktora Hugo. Na paradnym łożu spoczywa poeta, osłonięty bogatą draperią, zasypany stosami palm i wieńców. Łoże to, umieszczone pod wielką bramą tryumfalną, w stylu odrodzenia, wspartą na kolumnach korynckich. Trzy grupy wieńców wierzchołkowej bramy. Wpółrodku wspina się Pegaz z rozwiniętymi skrzydłami, trzyma go silną ręką wolność we frygijskiej czapce. Z obu stron widzimy dwie symboliczne postaci: jedna kruszy topór katowski, druga odtrąca z gniewem tyarrę i pastorał. Dwie inne grupy wysunięte naprzód, wyobrażają dwie sceny z poematów Wiktora Hugo. Po lewej ręce Quasimodo unosi Esmeraldę, po prawej, rycerz Eviradnus, trupem króla, powala cesarza, jak maczugą. Kto czytał tę legendę, nie zapomni, że owym królem, zamordowanym przez rycerza, był nasz Władysław Jagiełło, owym cesarzem Zygmunt Luxembureczyk!

Wnętrze bramy wygięte w łuk, pokryte całe wypukłorzeźbą, motywa wzięte zarówno z poematów. Z boku siedzi zadumany Satyr, oburącz wsparty o kolana. Przy Satyrze, tuż nad głową poety, świeci ogromne słońce: przez rozpięte promienie, widać postacie wijące się w kłęby, spadające gdzieś w otchłań: myśl wzięta z poematu *Upadek Bogów*. Wpółrodku sklepienia, zwieszona głowa skazanego na śmierć, którego poeta opowiedział ostatnie chwile. Pomijamy inne symboliczne grupy i godła, dość już i tych któreśmy przytoczyli, aby dać pojęcie niesłychanej przesady całej kompozycji. Słusznie tu powiedziano, że na pomniku Wiktora Hugo, przesada i napszysztosć mogą być do pewnego stopnia dozwolone, ale artysta przebrał miarę; uniesiony zbyttem zapędem, przepomniał o francuzkiem przysłowiu:

Du sublime au ridicule, il n'y a qu'un pas!

Malarze nasi w salonie tegorocznym nie tak licznie wystąpili, jak w latach poprzednich. Podwodem tego zapewne niegościnnosć francuzkich artystów, zajmujących się urządzaniem wystawy. Obrazy cudzoziemców są dla nich solą w oku, to też mieszczą je tak wysoko, że niektórych zwłaszcza mniejszej objętości, dopatrzeć niepodobna.

W tym roku uczyniono jednak wyjątek dla p. Chełmońskiego. Obraz przedstawiający jarmark w Polsce, wybornie pomieszczony; zasługuje też na to. Wszystko tu rusza się, drga życiem, wszystko naznaczone piętnem samodzielności, i pochmurzone niebo nasze i topniejący śnieg na targowisku, i nieporównane typy mieszczan, szlachty, żydów i włościan i żebraków. Koń na pierwszym planie przewyborny, rzuca się, wspina w górę, parska rozdetą chrapą, ledwie, że właściciel z całym wysileniem zdoła utrzymać popręg w twardej garści.

Pan Styka z Krakowa, uczeń Matejki, wystawił wielki obraz: „Boga Rodzicę błogosławiącą wszystkie stany”. Po lewej ręce kłęczący biskup w infule, z pastorałem, w kapie ze złotogłowiu, przy nim senator w karmazynowej delii z sobolem, dalej wieśniak od Szkalmierza, w białej kierzyci, a przy nim wieśniaczka z dzieckiem na ręku, obok prosty szlachcic szaraczkowy, wreszcie mieszczanin z chorągwią cechową. Wszyscy kłęczą wółkole u stóp Najświętszej Panny. Obraz pomieszczony bardzo wysoko, ale dzięki znacznym jego rozmiarom, można rozpoznać typy i ocenić zalety niepospolitego pędzla.

Równie wysoko pomieszczony obraz p. Gersona: „Cień Barbary przed Zygmuntem Augustem”. Piękny ten obraz znany zapewne Warszawianom, nie będziemy go zatem opisywać, zwłaszcza, że w wielkiem oddaleniu, mogliśmy tylko dopatrzeć postać króla, wyciągającego z zachwytem obie ręce ku blademu zjawisku, które ukazuje mu mistrz Twardowski.

Mały, ale bardzo ładny obrazek p. Pawła Merwarta, zwrócił uwagę tutejszych krytyków. Młoda panią gra na fortepianie utwór Chopina, zład tytuł obrazka *Impromptu*. Pan Merwart rozpoczął do Salonu wielki portret dziewczynki

bawiącej się wśród kwiatów, nieszczęściem model zachorował, artysta nie mógł wykończyć pracy w przepisany terminie.

Pan Axentowicz wystawił piękny portret mężki, zawieszony także zbyt wysoko; p. Gąsowski krajobraz arkaszonu, panna Kazimiera Dziekońska, pełną wyrazu głowę czytającego zakonnika, panna Dulembianka starannie wykonane studium, p. Przepiórski galerią rzeźby w Luwrze.

W ogrodzie oszklonym, uderzają w oczy dwie piękne rzeźby p. Godebskiego: jedna odlana ze spizu, przedstawia Satyra i Nymfę; druga wykuta z marmuru, wyobraża anioła pociechy rzucającego kwiaty pełną ręką. Oblicze Anioła idealnie piękne, draperya nadzwyczaj lekka, wszystkie szczegóły oddane po mistrzowsku. Jest to wspaniały nagrobek, przeznaczony na cmentarz père Lachaise, dla pani Tamberlick, matki Doktorowej Gałęzowskiej.

Pani Godebska wystawia pełną wdzięku popiersie kobietę, p. Marcinkowski świetnie wystąpił z dwoma biustami. Jeden, ulany ze spizu, ukazuje typową postać męża, osmalonego w prochu bojowym; drugi, wykuty z marmuru śliczną głowę hrabiny Z. M., pięknie artysta oddał idealne rysy w całym rozkwicie lat dwudziestu.

Pan Marcinkowski wykonał również popiersie Bohdana Zaleskiego. Nie mógł pomieścić go na wystawie, gdyż za model służyła mu zdjęta po śmierci maska, a poeta nasz umarł na krótki czas przed otwarciem Salonu. Utalentowany rzeźbiarz oddał nie tylko rysy, ale żywy ich wyraz, pełen powagi i słodyczy. Długa broda, spływająca lekko na piersi, pięknie zdobi typowe oblicze drogiego nam ukraińskiego lirnika.

## Kronika działalności kobiecej.

— Szkoła koronkarstwa p. Heleny Gabrielowej, która jest pierwszą w kraju naszym szkołą tej ważnej gałęzi pracy kobiecej, skończyła sześć lat istnienia, a rezultaty tego dobroczynnego przedsięwzięcia zanej pani są bardzo szczęśliwe. Otwarta d. 16 Listopada 1880 r., z nauką najzupełniej bezpłatną, i zarówno dla zamożnych i ubogich, małoletnich i dorosłych osób, a przytem uprzystępniająca naukę przez udzielanie bezpłatne osobom niezamożnym potrzebnych warsztatów i deseni, szkoła znalazła odrazu uczennice różnych stanów, garnące się do niej licznie i obecnie pochłubić się może liczbą 300 osób, dorosłych i małoletnich, wycieczonych kursztu koronkarskiego. Uczyły go się przytem dziewczynki z 8-miu Ochron Warszawy i Pragi, ze Szkoły Towarzystwa Dobroczynności, z czterech szkół elementarnych: z Leszna, z ulicy Obożnej, Pańskiej, z Pragi. Zarazem oprócz wyżej wymienionych szkół i ochron, które miały opiekunów swoich, starających się pocziwie o przyswojenie uczennicom tego korzystnego przemysłu, we wszystkich innych elementarnych szkołach i Ochronach Warszawy nauka koronkarstwa została zaprowadzona kosztem i staraniem założycielki szkoły, to jest p. Heleny Gabrielowej.

Pobierały także w szkole naukę uczennice wyższych zakładów naukowych Warszawskich, a mianowicie: p.p. Płuzańskiej, Karwowskiej, Elszyk, Paprockiej, Zarzyckiej, Kudasiwiczówniej, Papi, Giwartowskiej, Talgrünowej, oraz Instytutu Muzycznego. Pobierały ją również umyślnie z celem tej nauki przybywające do Warszawy dziewczynki, przysyłane przez zakonnice z Siedlec, gdzie za pozwoleniem rządowym założyły zakonnice szkołę koronkarstwa; oraz z pensyi w Dąbrowie Górniczej, gdzie noszą się także z myślą założenia szkoły koronkarstwa dla żon i córek robotników, zajętych w kopalniach.

Z łona szkoły p. Gabrielowej, bo za pośrednictwem wycieczonych w tej szkole osób, powstało kilkanaście w kraju i poza nim, a mianowicie: w Wilnie, w Lublinie, Grajewie, w Łodzi, w Skale pod Krakowem, w Szkalmierzu, w Częstochowie (dwie szkoły), w Mińskim gdzieś

na wsi, w Suwałkach, w Sandomierskiem, we wsi Gromadziach szkoła, założona przez właścicielkę tejże wsi p. Rudominowej i tej to szkole przyznano na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej dwa medale srebrne: za wyrób koronek i krzewienie w kraju użytecznego przemysłu między ludem wiejskim. Za pośrednictwem osób wyuczonych w szkole p. Gabrielowej, założona została szkoła w Baku, we Władykaukazie, także w Tyflisie, gdzie pojechały dwie uczennice szkoły. Ale rzecz podziwna godna, że pierwsza szkoła koronkarstwa została założoną w Berlinie przez uczennicę szkoły warszawskiej. — Niemka, przebywająca w mieście naszym, jako nauczycielka, wyczywszy się tu koronek, zużytkowała swoją umiejętność za powrotem do kraju.

Trzy rzemieślniczo-przemysłowe zakłady pracy kobiet w Warszawie: hr. Cecylii Platerówny, p.p. Suchowieckiej i Poświkowej, posiłkowały się uczennicami ze szkoły p. Gabrielowej, a także i jej deseniami. Trzy z małoletnich uczennic szkoły udzieliło na miesiąc w roku ubiegłym 2,053 godzin lekcji prywatnych, biorąc za godzinę od zł. 2, do 3 i coś drobnych.

Zebrawszy to razem, widzimy, jak szerokim kręgiem działała pożyteczność szkoły, która coraz rosnąc będzie, w miarę, jak zaszczerpiony przez nią przemysł koronkarSKI, coraz się rozszerzać i doskonalić będzie, rugując towar obcy — towar drogi, za który nie mało grosza z ubożego kraju naszego do bogatej zagranicy ucieka. Pani Gabrielowa, podpierając się w dobroczynnej swej pracy myślą pożytku publicznego, śledziła w pierwszych latach istnienia szkoły, jaka też ilość koronek wchodzi do nas z obczyzny, i dowiedziała się, że cło, opłacane za koronki komorze celnej warszawskiej wynosiło: w r. 1881 — 13,666 rs., w 1882 — 19,599, w 1883 — 18,264 rs. Ileż zatem, w stosunku do tej opłaty celnej, wyszło pieniędzy za ten towar wwozowy, a gdy dodamy do tego koronki, przywiezione bez cła, jako na użytek własny przez podróżniczeki nasze po Francji, Czechach, Austrii, zrozumiemy, jaką jest zasługa p. Gabrielowej, w zaprowadzaniu u nas przemysłu koronkarSKiego! Ile niezamożnych kobiet zarobić sobie może na życie uczciwe, i ile grosza oszczędzonego pozostanie wtedy w kraju!

Według spostrzeżeń p. Gabrielowej najwięcej uczennic jej szkoły, uczących się ze względu na zbyt, było dotąd z klas intelligentnych, które chcą dopomagać zarobionym przez siebie groszem pracy ojców i mężów. Ale początek to jest dopiero; lud wszędzie i zawsze okazuje się silnie zachowawczym: na nowe, mało ubite drogi prędko nie wchodzi; ale przyjdzie to z kolei, że tak jak wszędzie, kunszt koronkarSKI rozpowszechni się między kobietami klas wszystkich, zarobku potrzebujących. Że przytem praca, która ten zarobek daje, nie odrywa kobiety od domu, od rodziny, nazwać ją więc trzeba błogosławioną, bo w dodatku, jakkolwiek można, odpowiada ona siłom kobiety — jest ze wszech miar pracą kobiecą, i miłą, bo w dziedzinę sztuki już wkraczającą i wytwarza nierzadko w robotnicy gorące zamiłowanie.

W ciągu ubiegłego roku szkolnego było u p. Gabrielowej uczennic 120; wyrabiano koronki, poczynając od najprostszych, klockowych, inaczej zwanych gospodarskimi, a według francuskiej nomenklatury: „torchon” — do bardzo już wytwornych, jak: „Point d'Angleterre”, „Point de Venise”, „Point d'Alaçon”, staroświeckie Brabancie i Brukselskie, „Malines”, „Valencienne”, oraz Point a l'aiguille, Point de Gar, wreszcie koronki hiszpańskie i gipiury. Wyroby szkoły sprzedają się w sklepach: Klinka Nowy-Swiat naprzeciw ulicy S-to Krzyżkiej, Hofertowej przy ulicy Se-

natorskiej, Kaczyńskiej przy ulicy Marszałkowskiej, w Zakładzie S-tej Marty i w wielu innych miejscach. Na szczęście, jest jeszcze więcej żądań, niż wyrobu, który szkoła dostarczyć może, więc jest dotąd zbyt pewny dla pracy robotnic.

Co do gatunków najwięcej żądanych są: z koronek nicianych klockowe, jako karczki do koszul i koronka do garniowania bielizny i sukien, z jedwabnych gipiury do podobnych garniowań, chusteczki na głowę zwane „fanchon”, krawaty, barby; z wełnianych modne dziś tak bardzo suknie i okrycia czarne, kremowe i w innych noszonych kolorach. Kupcy, może czyniąc zadość uprzedzeniem publiczności, sprzedają często koronki miejscowe, jako zagraniczne.

Szkoła posiada obecnie na użytek robotnic swoich 2,225 wzorów; do nauki dla dziewczynek ubogich ma 50 warsztatów, 6,000 klocków.

Szkoła p. Gabrielowej, pod nazwą Szkoły Warszawskiej, a trzeba dołożyć, że pierwszej szkoły u nas, bo w Zakopanem założono ją o parę lat później z funduszy krajowych — otrzymała na Wystawie Lwowskiej w roku 1881 dyplom honorowy szczególnego uznania, a przemysłowe muzeum tamtejsze zatrzymało jej wyroby, jako wzory. Na warszawskiej wystawie przemysłowej w 1885 r., otrzymała p. Gabryelowa medal srebrny — brano w rachunek wyroby koronkarSKie w stosunku ogólnym do przemysłu krajowego, ale w stosunku moralnej zasługi na polu pracy kobiecej, więc też w stosunku obywatelskiej zasługi kobiecej i usiłowań położonych dla dobra ogółu, bez żadnego osobistego względu, bo jak wiemy, nauka udzielana jest najzupełniej bezpłatnie, pani ta godna jest medalu złotego. A za cóż to znana czytelnikom naszego pisma Barbara Utmann, otrzymała niedawno w Annabergu (w Czechach Góry Kraszczowe) pomnik postawiony po upływie wieków na jej mogile przez wdzięczną pamięć ludu górskiego, który obroniła od śmierci głodowej, lub rozejścia się po świecie? Kiedy książę Alby, jak jego naśladowca dzisiejszy Bismarck, rozpędzał biedny Lud Niderlandzki, jedna z wygnanek, w świat wędrująca, zebrząc odpoczynku i noclegu zapukała do domu Barbary, będącej żoną naczelnika jednej z kopalni, których wyczerpanie się otwierało przed przerażoną ludnością straszłą perspektywę bezrobocia. Wygnanka, pozostawiona dłużej w domu Utmanna, bo dziecko, które karmiła i niosła ze sobą, było chore, wypłaciła się za miłosierdzie, nauczywszy dobroczynną gospodynię domu kunsztu koronkarSKiego. Kobieta szlachetna i energiczna nie poprzestała na tej troszce, jaką posiadała, pojechała do Brukseli, i bawiąc tam, jako podróżniczka, zdołała zdobyć sobie ukrywaną przed cudzoziemcami naukę koronczarstwa w zakresie szerszym, zbadać całą organizację tej pracy, jako zarobku tłumów i wróciwszy do kraju z tą wiedzą, otrzymała nazwę zbawicielki prowincji swojej, dla której dziś jeszcze jest, jak Izys Egipska, mistyczną karmicielką. Zasługa p. Gabrielowej ma wiele podobieństwa z zasługą Barbary Utmann, bo choć okoliczności są różne, jak i czasy wydarzeń, niemniej ta zacna pani zaszczerpiła w Warszawie gałąź nowej i zyskowej pracy kobiecej, za którą błogosławić ją będą niejedne usta niewieście. Widziałam własnymi memi oczyma, jak podróżniczka polska uczyła się mozolnie koronkarstwa od góralek tychsamych gór Czeskich, które były rodzinną stroną Barbary Utmann i nie poprzestając na tem pojechała dalej do Belgii, aby się tam uczyć jeszcze, a dziś z miłości bliźniego, z miłości ogółu daje te nauki kobiecie potrzebującej grosza zarobku — daje ją licznemu zastępowi kobiet dobroczynnie, we własnym domu.

Niepotrzebując pracy, jako zarobku, wzięła na siebie pracy tej ciężar i daje tu to, co jest stokrój większem nad największe datki dobroczynne — daje trud swój osobisty, który stanowi najwyższy dar człowieka dla człowieka, bo ofiarę z własnej swej istoty czynioną.

Nauka w szkole odbywa się codziennie od godziny 10-jej rano do 1-jej po południu z wyjątkiem Niedzieli i Świąt, oraz Piątku. Zapisywać się do szkoły można w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od 12-tej godziny rano, do 1-jej po południu. Uczennice obowiązane są uczęszczać na lekcje regularnie. Nauka rozpoczyna się od nauki koronek klockowych (Torchon), na którą to naukę wystarcza czas od 2 do 6 miesięcy, dłużej uczyć się nie można, bo szkoła uznaje wtedy niezdolność uczennicy. Kursów jest 5: pierwszy koronek klockowych, drugi gipiury i koronek hiszpańskich, trzeci, czwarty i piąty wyucza wyższych gatunków, już wspomnianych. Osoby pragnące pobierać naukę koronek w domu mogą, za zgłoszeniem się do przełożonej szkoły, otrzymać nauczycielkę płatną za godzinę od 2 zł. do pół rubla. Szkoła mieści się na Krakowskim-Przedmieściu N. 42, mieszkania 3.

— W ubiegłym roku szkolnym Instytut Muzyczny liczył uczennic 206, (uczniów 119). Najliczniej kształcono się w grze fortepianowej: klasa fortepianu niższa miała uczennic 124, (uczniów 18), wyższą uczennic 72, (uczniów 9). W klasie skrzypców nie było uczennicy żadnej podobnie, jak i też w klasach wszelkich innych instrumentów. Śpiew solowy liczył uczennic 13, (uczniów 2). Patenta otrzymało z gry na fortepianie uczennic 9, z tych 6 w stopniu bardzo dobrym, 3 w stopniu dostatecznym. Patent ze stopniem celującym nie dostał się żadnej z uczennic, otrzymał go tylko jeden uczeń (Marek Zawirski), świadectwo przebywanej nauki otrzymało uczennic 14. Ze śpiewu solowego otrzymały patenta ze stopniem bardzo dobrym uczennice trzy.

— Kobietom doktorom medycyny mogą być powierzone u nas funkcje lekarzy szkolnych z warunkiem przecież, że każda taka nominacja potrzebuje być potwierdzoną przez ministerium spraw wewnętrznych. Sądymy, że chodzi tu o szkoły elementarne, i zakłady wychowawcze dla dziewcząt.

— Za przykładem Niemiec ma być urządzoną i w Warszawie inspekcja mięsa, któreby za pomocą mikroskopu badały zdrowotność mięsa, zwłaszcza wieprzowego, w którym mieszczące się trychiny i węgry zagrażają zdrowiu publicznemu. W Niemczech, nawet po wsiach, mięso każdej sztuki wieprzowej nie może być spożywanem bez takiej rewizji i ktoby podstępnie zakaz obeształ, płaci karę stosunkowo wysoką. Właściciel zabitej sztuki opłaca koszt rewizji. Inspekcja zdrowia ma się u nas rozciągnąć i do wędlin, za pewne i przywołanych do Warszawy. *Dziennik Łódzki* upomina się o instytucję taką, i dla Łodzi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencję Marryat.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Rok szkolny, (dalszy ciąg), przez M. Hnicką. — Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego — Korespondencya zagraniczna, Lwów. — Karta z pamiętników poety, (dalszy ciąg), przez Szczęsną. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencję Marryat. — 31 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 2 Юля 1886 года.